



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantarach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

### WAKACYE.

Jednym z najważniejszych momentów w życiu kobiety-matki jest chwila, gdy dzieci swoje do szkoły oddaje. Dotychczas duszki te młode były jakgdyby jej własnością, kształcenie ich i kierunek zostawały niemal całkowicie w jej ręku; dziś przeciw te drogie jej ptaszki wylatują po raz pierwszy z rodzinnego gniazda, tam kędy ona obok nich być nie może, kędy inne, nieznanne jej głosy przemawiać do nich zaczną, gdzie spotkają się może z inną metodą nauczania, z innymi kierunkami uczuć i myśli. Akademik francuzki Legouvé, który *Historiá kobiety* pisał i studiował ją w rozmaitych życia fazach i położeniach, zrozumiał wagę tej chwili dla uczucia macierzyńskiego, i więcej: dla całej przyszłości stosunku dziecka z matką,—syna szczególnie. I pośpieszył też z radą. W dziele swoim *Rodzice i dzieci wieku XIX-go* wskazuje matkom jak postępować powinny wobec tego pierwszego oddzielenia się dziecka od macierzyńskiego łona, wobec tego pierwszego oddawania go światu. Matka powinna wiedzieć, czego, i jak uczą się jej dzieci, i dlatego, w razie niedostatecznego wykształcenia naukowego, powinna wziąć się do książki i uczyć się także, pracować najlepszą wolą umysłu swego, aby smutna niewiadomość, która ją od dziecięcia jej wkrótce grodzić zaczyna, usunięta została. Należy jej przeciw myśleć o tem, nie w ostatniej dopiero godzinie; należy jej pola umysłowego nie zalegać i z pierwszą chwilą macierzyństwa wszystkie jego powinności obecne i przyszłe zrozumieć i jako obowiązek odważnie podjąć. Legouvé, który traktował ten przedmiot przedewszystkiem z myślą o synach, radził matkom następnie, aby

były tych synów swoich korrepetytorami, aby w pierwszych latach, gdy nauka szkolna jest dla młodego dziecka trudną, pomagały mu w niej, wskazywały, jak się uczyć trzeba, podważały razem z synkiem swoim tę górę ciężaru, jaką jest dla niego wtedy lekcya na jutro zadana. Aby z zadania dobrze wywiązać się mogła, trzeba jej obeznac się z udoskonaloną nowożytną metodą nauczania, która, nie pamięciowego tylko wyuczenia się lekcyi wymaga i nie do pamięci dziecka tylko przy nauczaniu się zwraca: najpierw, dla ułatwienia nauki, następnie dla jej skutków na umysł młody, dla rozwijania siły tego umysłu, inteligencyą zwanej. Rzecz jest niezmiernie ważną i szczególnie przy tych lekcyach, których dziecko uczyć się potrzebuje w językach obcych, należy bacznie pilnować, aby dziecko, nie ucząc się na pamięć rzeczy powierzchownie tylko zrozumianej, pierwiej ją sobie przestudyo- wało. Niech się nikt nie uśmiechnie na ten wyraz, zdający się może zbyt szumnym, gdy chodzi o chłopczka z pierwszej, drugiej klasy: studya- mi jest wszystko, czego się człowiek uczy, na rozum biorąc, i ztąd studjuje się wtedy nawet, gdy to jest dobrze uczona bajka Jachowicza. Jeżeli młoda matka dla braku wprawy nieśmiała się uczy, —co jest jej wolno, bo rzecz ważna, a ona niedoświadczona,—niech dziecku swemu da oprócz tego dobrego korrepetytora, niech przy lekcyach jego zawsze będzie przytomna, na wzorze z niego brany kształci i dopilnowywa, aby wskazówki i zadania jego były przez dziecko wykonywane, a z wolna postępując, coraz lepszego pojęcia o nauczaniu nabędzie, coraz doskonalszą w sztuce nauczania tego się stanie i—o co chodzi głównie—między matką a dzieckiem do szkoły chodzącem nigdy węzeł harmonijnie ich umysły łączący nie zerwie się, nie rozluźni. Może matka rozumna posuwać się tak rok za rokiem w obcowaniu naukowem z umysłu swego syna, a choć wiek chłopca zmiany tu wprowadzać musi, choć z czasem

nie mogą to już być takie, jak niegdyś korrepetycye, w inny sposób rzecz się przedłużać i utrzymywać powinna, i na to są czytania rodzinne, na to są rozmowy poufne przy ognisku domowem, aby matka zaznajamiała się z rozwojem wyobrażeń i ustaleniem pojęć syna, których wtedy nie przestanie nigdy znać, na których urabianie się wpływ mieć będzie — wpływ, osiągnięty nie tylko przez zwiększone przywiązanie dla tak dobrej, poświęconej, troskliwej matki, ale przez uszanowanie, najpierw chłopca, a potem młodzieńca, dla umysłu, dla rozumu matki.

Ale to wszystko radził Legouvé matkom, które z dziećmi swemi rozdzielać się nie potrzebują, matkom zamieszkałym w mieście. Inny francuzki pisarz, poświęcający swe pióro sprawom wychowania, znakomity pedagog i myśliciel poważny, a obywatel tak dobry, że go wszystkie stronictwa szanować musiały, ksiądz biskup Dupanloup, członek Akademii Francuzkiej, dając rady podobne matkom, które oddalenie z synami rozłącza, kazał im stałą i niezaniebywającą się nigdy co do czasu korespondencyą z nimi prowadzić. Cały jeden ustęp jego wybornej książki *La femme studieuse*, której bardzo dobry przekład, przez księdza Chełmickiego dokonany, literatura nasza posiada, oddany jest takiemu stosunkowi matki z uczącym się w szkołach synem, i przeczytanie tych rad, tych wskazówek może niepospolitą korzyść czytającej przynieść; ale matka, oddalona od uczącego się syna ma jeszcze inny węzeł, który ich ze sobą łączy: ten czas szczęśliwy, który młodzieńca domowi rodzinnemu wraca—na wakacye.

Dobre zużytkowanie wakacyi powinno tak w plan wychowawczy rodziców wchodzić, jak dobre zużytkowanie czasu nauce poświęconego. Tam jest uprawa umysłowa chłopca i młodzieńca; tu, dla rodziców, którzy się z dzieckiem swoim dla względów tej nauki rozłączać muszą, uprawy moralnej pole i chwila. Jeżeli dla ojca jest to

zadanie szczególnie ważne i poważne, jeżeli należy mu tak troskliwie umysł syna w rodzicielskie ręce wziąć, jak tkliwie przy powitaniu głowę powracającego do piersi swej przycisnąć, jeżeli jak starszy mąż i obywatel, powinien z młodzieńcem niejedną rozmowę mieć, a choćby niejedną dyskusją stoczyć i nie rzucając tu na szalę powagi rodzicielskiej, tylko wyższością dojrzalszego umysłu i doskonalszego wyrobienia życiowego przewagę nad nim otrzymać—matka ma zadanie wcale nie mniejsze. Jej należy serce syna troskliwie opatrzyć: czy gdzie szkody nie poniosło, nie oziębło na coś, względem czego gorącym być winno, nie odwróciło się od jakiej miłości świętej, piękności drogiej, nie stwardniało na to, względem czego tkliwym trzeba być człowiekowi? Zali czuje szlachetnie, rwie się podniosłe, zapał dla dobra i prawdy w niezgaszonej iskrze chowa?

Cobądź w głębi serdecznej młodzieńca odkryje, droga jej postępowania niemal jednakowa. Miłością do miłości skłaniać, do ukochań pocziwych, czy nawracać, czy je podtrzymywać, ideałów czystych piękność przed oczy stawiać, mniej przeciw słowem, niż czynem, niż serdecznych wzruszeń siłą, bo tak jedynie uczy się tego, z czym ona jako nauczycielka wystąpić powinna.

Ale to tylko zarys, to teoria, potrzebująca wcielenia swojego. Życie rodzinne, uczciwe, czyste i pracowite, uwesелone wzajemnem przywiązaniem wszystkich członków rodziny, wzajemną ich względem siebie ufnością: to najważniejsza podstawa rzeczy, ujęcie najsilniejsze młodzieńczego serca. Niech matka usiłuje nigdy synowi swemu niepokazać się małoduszną i nieszlachetną, niech zasada zawsze się u niej z czynem godzi: a jej pobożność nie będzie ciasnym i powierzchownym religijnych praktyk wykonywaniem obywatelskość—szumem a czerem słowem. Niech chrześciana kocha ludzkość, obywatelka społeczeństwo swoje w każdym do niego stosunku: gospodyni względem sług i ciemnego ludu z chat wiejskich, sąsiadki względem sąsiadów. Niech jej używanie i próżność próżności i pragnień używania w sercu dzieci nie szczepi, niech podniosły życia jej ideał wykazuje się w życia tego prawdziwie i spokojnie dobru i gdy syn jej, do rodzinnego domu wracający, zawsze ją taką widzieć będzie, nigdy ona w oczach jego nie straci dawnego z lat dziecinnych uroku i miłości, która szacunek rzeczywisty z oznakami winnego rodzicom uszanowania połączy. Zawsze, a nawet silniej niż niegdy jako dziecię maleńkie, kochać i czcić ją syn jej będzie; zawsze ona nad duszą młodzieńca, a potem męża, panowanie tkliwego uczucia zachowa. I gdy takie wrażenie syn z pobytu wakacyjnego w świat szkolny za sobą zabierze, pójdzie tam za nim anioł stróż miłości macierzyńskiej, który go od wszystkiego, co jest złem, zasłoni, ku wszystkiemu, co jest dobrem, najpierw skłoni przez serce, aby potem rozum pakt ten zatwierdził i ustalił.

Matka powinna też używać na to czasu wakacyjnego, aby rodzeństwo, bracia i siostry, którzy przez oddalenie i sercami nieco od siebie oddzielić się mogli, znowu przez siłę tkliwego uczucia zbliżyli się ze sobą. Niech za jej wskazaniem i radą siostra jakąś przyjemną niespodzianką, jakąś serdecznego uczucia oznaką brata na progu rodzinnego domu powita, niech mu się miłą, dobrą, serdecznie przywiązaną okaże, aby uczucie rodzinne nie pozostało tylko prostym krwi instynktem i przyzwyczajenia lichym skutkiem; ale stało się tą przyjaźnią dwóch serc, dwóch dusz blizkich sobie, która potem ciężką próbę życia wytrzyma i życia tego pomocą, osłoda się stanie. Dzieci dobrej matki zawsze się Kochają między sobą i wynoszą też przez to z domu rodzinnego jedno dobro więcej—jedno więcej uczucie słodkie i czyste, które, gdy jest prawdziwym i stałym, wielu cierpieniom gorzyc odjąć, a szczęściu samemu blasku dodać może.

Wakacje—to poezja szkolnego życia. Młoda istota chłopca dopiero zaczyna się wdrażać do poważnego pojęcia pracy i obowiązku; niech je w sobie wyrobi, niech się nauczy stać przy niemu silnie i nawet surowo, ale dla zachęty, której dziecko jeszcze potrzebuje, dla pomocy, może nawet dla rozwagi duchowej, trzeba mu w to nowe i trudne dla niego istnienie jasny i ciepły promień

słoneczności rzucić i tej młodości jeszcze delikatnej dać coś wesela, swobody, muzyki tego szczęśliwego, z pełni nieściśniętej jeszcze niczem piersi idącego, śmiechu, jaki potem już mu może nigdy nie zabrzmi. Uczące się dziecko powinno mieć wakacje oile można wesołe, swobodne, szczęśliwe. Wsi mu dla nich przedewszystkiem potrzeba: niech chłopiec biega, konno jeździ, strzeła, pływa, niech się hartuje przez to i, idąc za budzącemi się w nim mękości instynktami, mękość tę w sobie rozwija, co nietylko o fizyczności jego stanowi. *Mens sana in corpore sano*: mękość ducha potrzebuje mieć siedlisko swoje w męzkim ciele i chłopiec delikatnik, a co za tem bardzo często idzie, i chłopiec elegancik, mężczyzna niewieściuch, tak jak baba Herod, nigdy nie odpowie przeznaczeniu swemu w doskonałym tego słowa znaczeniu. Energia, siła woli, męstwo szlachetne—to przymioty ducha i z duchowej głębi jedynie płyną, w duchu i z sił ducha się wyrabiają, ale mężczyzna musi często i cielesności mocnej jako środków wychowawczych dla cnotliwych swych chęci potrzebować. Obraz francuzkiego malarza na przeszłoroce wystawie paryskiej złotym medalem zaszczycony, a który, nosząc tytuł: „*Ludi pro patria*“, przedstawiał wśród starożytności wioski gallijskiej igrzyska młodzieży, rzucając włócznią w pień starego dębu: to nie słowem wypisany, ale farbami malowany traktat pedagogiczny, o którym przy wakacjach chłopca i młodzieńca pamiętać należy. dzielność fizyczna—to nieraz dzielności duchowej podpora i umocnienie i kto chłopca nie da wakacyi tak użyć, aby to było sił jego fizycznych ćwiczenie—złe czyni. Matki ze zbytku miłości, z nadmiernego troskliwości uczucia, często w tym kierunku grzeszą, ale tu ojciec powinien mieć głos przeważny: tu mężczyzna niech męczyznie chowa.

Wprawdzie matce, a nawet wogóle rodzicom, często o to chodzi, aby chłopiec z wolnego czasu i pod względem umysłowego w domu korzystał, aby takie czytania, któremi szkoła zajmować się nie może, na przykład zapoznanie się z poetami, rozbudzające w chłopcu potrzebną poetyczność, w czasie wakacyjnym miejsce miały i jest to dobra i rozumna troskliwość. Chmielowski, niewątpliwie powaga w tym kierunku, wykazał ogromną tego potrzebę w odczycie mianym kilka lat temu, a z którego odbita książeczka powinna się znajdować w bibliotece każdej matki; ale przy dobrze obmyślanym rozkładzie zajęć i na to czasu nie braknie a nawet należy, aby nie brakło. Zapoznanie chłopca z arcydziełami poezji i pewne moralnie kształtujące czytania, być powinny jednym z zadań wakacyjnych; ale niech to nie będzie nigdy mozolnem ślęceniem nad książką. Chłopiec z duszą szlachetną, z umysłem dobrze rozwiniętym, sam do takich książek Ignąć będzie, ale nauce we właściwym znaczeniu tego wyrazu, nauce, która myśl wysila i jest ciężką pracą mózgu, należy dać teraz pokój. Wakacje, toż-to przeciw rekreacya przedłużona, a zastanówmy się nad źródłosłowem tego wyrazu pochodzącego, z łaciny, a da nam to poznać, jaką była myśl pedagogiczna takie krótsze i dłuższe chwile wolnego czasu uczące się młodzi wyznaczająca. *Rekreacya* to odrodzenie się nanowo, odtwarzanie się: i takim być powinien dla całej istoty młodzieńca skutek wakacyi. Uczeń powinien przez odpoczynek i swobodę siły zmęczone odzyskać i dać pracy taką folgę, aby natura mogła odradzającego działania swego dokonać, co gdy nastąpi, lepiej on i chętniej potem pracować będzie. Niech więc przez czas wakacyi chłopiec nowy zapas życia sobie robi, niech w pierś świeżego, czystego powietrza zaczerpnie; a jeżeli rzecz się ta stanie pod względem, tak moralnym, jak fizycznym—wakacje były dobrze spędzone: była to dobra dla duszy i ciała rekreacya.

Marya Inicka.

## NA POLESIU

### POWIEŚĆ

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Przybywająca Estera nie była też wyelegantowaną, ale strój jej świeży, różnobarwny, różnił się wielce od ubrania hrabiny, krojem i temi drobnymi szczegółami, które moda narzuca.

Na widok Estery rumieniec przepłynął po bladej twarzy hrabiny, która się jej na szyję rzuciła.

W teże chwili we drzwiach się ukazało ładne dziewczę, w pełni młodzieńczej świeżości, podobne do Steńki—a jednak niemogące się z nią mierzyć, ni porównać.

Poznać w niej było można siostrę, lecz razem dziwić się trzeba było naturze, która, dwie istoty w jednej odlewając formie, czyniąc je podobnymi do siebie, tak różny umiała im nadać charakter.

Mareysia miała rysy tezsame, lecz jakby zgrubiałe i niewykończone, tezsame oczy, patrzące inaczej, niektóre ruchy siostry, przesadzenie dobitne. Znać było w niej życie pulsujące żywo, gwałtownie i niecierpliwie.

Za nią zaraz szła, sprowadzona dla jej nauki i towarzysztwa, z Warszawy, niegdys przyjaciółka i koleżanka z pensyi p. Adeli—panna Julia; nieładna, gruba, ciężka, z twarzą dużą, okrągłą w razę łagodnego i dobrego. Miała ten nieczaczony przymiot, że ze wszystkiego umiała być zadowolona, nie krzywiła się na nic, i wesołością swą dom ożywiła.

I było jej wszędzie dobrze.

Całe towarzystwo weszło z ganku do sieni, a potem do—bawialnego pokoju.

Dwór w Skomorowie, jak—eśmy mówili, zewnątrz się bardzo mało odmielił; lecz wewnątrz jego, zaniedbane za życia hrabiego, zupełnemu uległo przeistoczeniu.

Nie było tu, ani zbytku, ani blasku, ani wyszukanej wytwórności w niczem: wszystko niezmiernie proste, niemal ubogie, ale z takim smakiem ustawione, tak dobrane jednolito, że się pięknem wydawało. Pokoje wiały jakimś cichym spokojem życia wiejskiego, starczącego sobie.

Ponieważ i p. Julia grywała i Mareysia tłuła fortepian niemilosiernie; niezbędne to narzędzie muzyczne, które dziś wszędzie na krańcach cywilizacji się spotyka—znajdowało się i w Skomorowie.

Gdzież dziś dom bez fortepianu lub pianina?

Kwiatki, w oknach i pod oknami poustawiane, nadawały bawialni świeżość i świadczyły, że w domu panowały kobiety.

—Patrz—że, patrz!—zawołała wesoła Esterka.—rok upłynął od ostatniej mojej bytności, nie mogłam być prędzej—cały rok!

Ale, jak tu wszystko, nie wyjmując pań, wypiękniało! Gospościa trochę blada, zato panna Mareysia jak różyczka.

—A ja, jak piwoniał—wtrąciła, wtórując wesołości panna Julia.—Ale jakże w Skomorowie nie utyc i nie różowieć? Nie robimy nic, karmimy się jak królowe, pijemy mleko garncami i nie mamy żudnego frasunku.

—Ale zato—przerwała Steńka—przyznaj Julko, nudzisz się trochę?

—Ja? Czyż się godzi mnie posądzać o to! a mój humor?

Rozmowa tak szczęśliwie poczęta czas jakiś równie obojętną zapelniona była treścią. Wkrótce jednak Estera, ze swoją przyjaciółką przeszły do sąsiedniego pokoju i zostały same.

Przybyła w gościnę zdawała się badać hrabinę, chcieć odgadnąć jej usposobienie—i czuć było, że wiozła z sobą coś, czego pozbyć się chciała, a do czego nie wiedziała jak przystąpić.

Stała naprzeciw siedzącej Faustynie i ujęła obie jej ręce.



zdrowa, ładna, śmiała—obie powinny być isé, co najmniej za grafów i zrobić świetne partye.

Nie ulegało wątpliwości, że zdobycie tego tytułu, było bardzo możliwym; lecz gdy p. Dyonizy o tem czasem córce mówił, nie odpowiadała wcale.

Zdaniem jego, musiało to przyjść samo z siebie. Podróż do Warszawy, sądził Sumak, mogła najłatwiej dać poznać piękną hrabinę wielkiemu światu i ten świetny los jej zgotować. Ojciec nie był od tego, aby z kminkówki i piołunówki wólcnowickiej przejść na warszawskie likiery. Gotów był przenieść się do stolicy i służyć córce.

Piękne te marzenia, jednego dnia, gdy p. Dyonizy zajęte przed Borucha, parą ładnych koników, i wysiadł, dysponując, aby mu osobny pokój dano (teraz już inaczej tu nigdy nie stawał)—rozbiły się o list, który mu z poczty przyniesiono.

W niebytności hrabiny nie posyłało ze Skomorowa po listy, i ten parę dni poleżał. P. Dyonizy, poznaawszy rękę córki, zabrał się przy oknie do czytania, nie przezuwając złego, gdy rzuciwszy okiem na pismo, odprostował się dumnie, brwi zmarszczył i zzymnął gniewnie.

Boruch właśnie na próg wchodził, dosyć poufale witając starego znajomego. Byli z sobą na bardzo poufałej stopie, chociaż Sumak miał żal wielki do całej rodziny Warszawskich, za to, że się śmiała poufać z jego córką, hrabiną. Wymawiał to pokilkakroć Faustynie, przyjmującej uwagi ojcowskie—aby się z lada żydami nie pospolitowała—z obojętnym uśmiechem.

— A to mi się podobal — zawołał do Borucha Sumak, ręką w list uderzając—to mi się podobal! Jak Boga mego Kocham, ta kobieta oszalała!

— Hm? Cóż takiego?—ręce za pas zakładając—spytał Boruch.

— Ale to nie może być! — dodał oburzony Sumak.

Boruch czekał objaśnienia.

— Hrabina mi pisze—rzekł Dyonizy, który nigdy jej inaczej nie nazywał, tylko zawsze tytułując—hrabina mi pisze, że za męża wychodzi.

— Nu! a co to ma być dziwnego?—rzekł Warszawski.

— Spytaj acan: za kogo?! Ona! milionowa pani! z tym tytułem! ona, coby księcia sobie wziąć mogła! Tfu! aż mi wstyd powiedzieć — za prostego profesora wychodzi, który się tam w niej kiedyś pokochał. Racya fizyka! ale ja jej głupstwa tego zrobić nie dam!

Pokiwał głową Boruch.

— A co jegomość myślisz począć? — odparł zimno — przecież to wdowa i pani swej woli. Kto jej może zabronić wyjść, za kogo zechce? Albo jej się nie należy za to co, wycierpiała, żeby choć teraz była szczęśliwą?

P. Dyonizygo rozumowanie to wcale nie przekonywało. Schował list do kieszeni z gniewem, mrużąc coś pod nosem; a że żądano od niego metryk i papierów, i musiał bądźco bądź isé po nie na probostwo, pomyślał, aby się z księdzem naradzić.

Niezważając więc na Borucha, wziął za czapkę. Na probostwie zaszła zmiana radykalna. Od kilku miesięcy staruszek Monsignor pożegnał się z tym światem; zastąpił go wikary, starający się otrzymać po nim beneficjum, co podobno nie było łatwym, gdyż, i temperament jego, i głoszone otwarcie demokratyczne zasady, nie jednały mu zwolenników u góry.

Tymczasem jednak, po opróżnieniu probostwa przez rodzinę daleką staruszka, ksiądz wikary wniósł się był do mieszkanki nieboszczyka, i tu, choć nie było obszerniej, taksamo zupełnie prowadził gospodarstwo, jak niegdyś w officynie.

Z fajką na długim cybuchu siedział zadumany wikary w nowej swej rezydencji, gdy wszedł, pozdruwając go, p. Dyonizy.

— Ja do księdza proboszcza z prośbą—rzekł—no, i z uzaleniem.—Proszę-bo sobie wystawić, słychnana to rzecz: hrabina, córka moja, za męża chce wychodzić. To nie—ale za kogo?

Skrzywił się wikary. Zasady jego tem pytaniem zadrażnione zostały.

— No—zakogóż?—spytał.

— Za kiepskiego jakiegóż profesorzyne!—zawołał z zapalem Sumak — za jakiegóż p. Wol-

skiego. I tytuł hrabiny zamienić na takie, z pozwoleniem, nazwiskol!

Wikary aż się zerwał z kanapy i cybuch mu wypadł z ręki. Zmierzył wzrokiem piorunującym Dyonizygo i na całe gardło się rozśmiał szydersko.

— Cóż-to! — krzyknął — zostałeś arystokratą? A to, boki zrywać! Hrabina rozum ma, a ty....

Przez grzeczność tylko nie dokończył.

Tymczasem kos w klatce zaczął świstać Dąbrowskiego.

Nastąpiło milczenie. Sumak był trochę skonfundowany.

— Przypomnij-że sobie, p. Dyonizy — począł wikary—czemuście wy byli, gdy nieboszczykowi, na złość familii, przyszła fantazyja ożenić się z wazszą córką. Pan Bóg mu nagrodził to, że chciał arystokratów upokorzyć i dał mu aniola, nie żonę. Cóż to, ona teraz dla kiepskiego, z pozwoleniem tytułu, ażebyś acan się mógł nim czwanić, szczególnie ma poświęcić! He! Oszalałeś?—czy co?

Sumak się zmieszał, chciał coś mówić, jakać się zaczął, potarł czoło, węża pokręcił, i siadł przybity, głowę spuszczał.

— Ja na to nie pozwolę!—krzyknął.

— A ona się acana o pozwolenie pytać potrzebuje, czy co? — zaśmiał się wikary. — Opamiętaj się, człowiecze.

Wikary chwycił za fajkę znowu.

— Pewnie papierów do ślubu będzie potrzebowała—rzekł. Dobrze, że wiem. Poślę wszystkie natychmiast, aby nie czekała. Czemu prędzej, tem lepiej.

Acanu professor śmierdzi?!

Strasznie oburzony, wikary latał po izbie.

— Nie będę acan, czem nie powiem—dodał.— Panu Bogu dziękuj, że sobie znalazła człowieka, z którym będzie szczęśliwą. Co ci się śni? Chciałeś ją znowu za grafa jakiegóż wydać! Myślisz, żeby jej acanem oczu nie wykałali, że mogłaby między tymi grandami znaleźć ludzi, coby jej złote serce ocenili? Ożenił-by się kto dla pieniędzy: waćpana-by zesłali kędyś, abyś się nie śmiał pokazywać rawet, a tę zasną kobietę-by zamęczyli. Tfu! gdzie u ciebie rozum?...

Sumak milczał. Prawdę rzekłszy, niektóre aforyzmy wikarego do przekonania mu trafiały.

Mógł wistocie, przy innem małżeństwie zepchniętym być ze stanowiska, jakie zajmował, a taki professor...

Nie chciał się jednak uznać zwyciężonym.

— Ja-bo — mruknął — dawno coś takiego przeczuwałem. Przyjaźniła się z Boruchówną: to dosyć powiedzieć; professor pewnie z jej poręki.

Śmiał się ksiądz wikary.

— Wiesz acan co? — odparł — nigdy się tego nie spodziewałem, ażebyś i ty odrobinę zdrowego rozumu, jaką miałeś, stracił, dostawsz się z zięcia grafa! Ale okazuje się, że do nich dosyć się dotknąć, a nawet Sumak zaraz fumów dostanie.

Porzuć-że to!—dodał surowo wikary.— Powiadam ci: Panu Bogu dziękuj i śmiechu z siebie nie czyń.

Starcie to z niewuwzględnającym wcale jego słabości wikarym nie pozostało bez wpływu. Pan Dyonizy nie przekonany całkowicie, ale zachwiany, powrócił do Borucha.

Tu począł ważyć, myśleć, list czytać, medytować, wdychać i postanowił z papierami sam jechać do Warszawy: a nuż uda mu się wyperswadować?

Wprawdzie nie wiele ufał temu, ażeby mógł wpłynąć na córkę; lecz szukał sposobności, tłumaczenia jakiegóż z tego, że—chciało mu się zobaczyć Warszawę.

Odpisał córce chłodno, oświadczając, że papiery potrzebne sam przywiezie. Zwolna oswoił się z myślą postradania tytułu. Majątek ma przecież pozostać—mówił sobie—a to grunt.

Do Warszawy przybywszy, przez dui kilka zbierał się córce czynić uwagi, zwłaszcza, iż w ten sposób Marcysi przyszłość zawiązywała. Poznaawszy jednak Wolskiego, widząc, że Steńka, z energią, którą znał, w postanowieniu swem niczem się zachwiać nie da—p. Dyonizy zamilkł.

— Panu Bogu to ofiaruję!—mówił pocichu.

Z Esterą tylko, której nie mógł darować jej

spoufalenia się z córką, zawsze pozostał sztywnym i zdala od niej się trzymał.

I tak pani hrabina prostą panią Wolską została.

Drezno, 1882 r.

K O N I E C .

## UCZUCIOWI

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

OSOBY:

**Radca**, Kochalski,  
**Kamilla**, jego córka,  
**Zosia**, krewna na opiece radcy,  
**Generałowa**,  
**Floryan**, jej siostrzeniec,  
**Achilles Grzmocki**, dawny gubernier Floryana,  
**Karol**,  
**Janek**.

(Scena na wsi, w domu Radcy).

### AKT I.

Ogród. — Z lewej strony, w głębi, ganek i wejście do domu, którego okien nie widać; na przodzie, po tejże stronie drzewo, pod którym duży stół nakryty obrusem i kilka krzeseł ogrodowych, a nieco opodal drugi mniejszy na samowar i szklanki. Pomiedzy tem drzewem a gankiem, wyjście z ogrodu. W głębi i z prawej strony klomby, a na przodzie z tejże strony ławka darniowa.

#### SCENA I-sza.

**Radca** (bez zarostu, twarz nabręklą i ospowata; ubrany z pełną galanterią w ranny garnitur; na głowie kapelus z dużemi skrzydłami, na ramionach szal; w jednej ręce kubek do picia wody mineralnej, w drugiej laska—później Janek).

**Radca** (wchodzi zwolna od prawej strony, p. c.).

No, zdaje mi się, że teraz nareszcie przybiję szczęśliwie do portu i zrzuć z serca ten cały niepokój, który mnie truć przez tyle lat... Dzięki Najwyższemu, wszystko idzie pomyślnie (*siada przy stole*). Dla Kamilki mąż jest! i to przyzwoity pod każdym względem... prawda, że zdaje się być kawalem szalawym i jakoś zanadto może lekko traktuje tę sprawę, ale go ciotka napędzi... po to przecie tu przyjechali! To już jeden, i najgłówniejszy, kłopot ubywa mi z głowy... ja tak Kocham to dziecko! a nie mogę nic dać za nią... Floryan—wyborna dla niej partya (*p. c.*) Z Zosią-bo, spodziewam się, nie będzie potrzeba wiele ceregieli... może zechce się trochę podrożyć, ale przy stanie... to jej oczy mówią... niby zdawałoby się, że jestem za stary dla niej, blisko trzydzieści lat różnicy... ale jak tylko jej się podobam, niema o czem mówić... I to łatwe do zrozumienia... lepszy stary byle jary, niż tam jakiś młokos, gołowę (*zakaszlał się*). To nerwowe... (*p. c.*) Z początku miałem obawę: czy nie będzie mi wlaził w drogę Karol... ale to pedant, cały zaprzatnięty tem, jak się dorobić grosza, pewno i nie myśli o niej, nie spodziewając się posagu (*wstaje*), a co zauważyłem, że ona właśnie od czasu, jak zaczął bywać, podwoiła względem mnie kokieteriją... tak mi się przymila, tak się stara mi dogadzać... pieczętowała... Bóg łaskaw, że to tak wszystko złożyło się jakoś niespodzianie i w porę, bo gdyby nie to, byłbym za kilka miesięcy, gdy dojdzie do pełnoletności, w porządnych obertasach (*patrzy na zegarek*). Fe! myśląc o niej, zapominałem o czasie... już powinienem być dawno po ostatnim kubku (*szuka*). Gdzie kamionka? zostawiłem ją tu, na stole. (*Janek wchodzi z lewej strony z zastawą do herbaty*). Al to ty tu nakrywałeś (*ziryrtowany*), gdzie mi podziałeś kamionkę z wodą?

**Janek** (*bierze ją z pod stołu, gdzie stała*).

Jest, jest, proszę wielmożnego pana.. o! (*podaje*).

**Radzca.**

Trutniu..... ja ci dam!.... czy na złość mi robisz, żeby mnie irytować?

**Janek.**

Postawiłem ją tam umyślnie, żeby się nie stłukła przypadkiem.

**Radca** (*podstawia kubek*).

Lej!

**Janek** (*nalewa*).

Już reszta.

**Radca.**

Wiem o tem! (*p. c. pije*) Goście już wstają?

**Janek.**

Pani generałowa się ubiera.

**Radca.**

A pan Floryan?

**Janek.**

Już ubrany, widziałem, że brał dubeltówkę; pewno pójdzie na bekasy.

**Radca** (*n. s.*).

Po co on się włóczy po tych polowaniach.... lepiejby pilnował swego.... (*głośno*) a guwerner?

**Janek.**

Juwerner? hi, hi, hi, ten wstał najraniej, ale mu się nie poszczęściło.

**Radca** (*surowo*).

Cóż to za śmieszki jakies?

**Janek** (*do ucha*).

Dostał w papę od Magdusi.

**Radca.**

Pleciesz, niewiedzieć co.

**Janek.**

Jak Boga kocham, w pralni, hi, hi, hi. Właśnie prasowała panience kołnierzyki. Dobrze, że go nie poparzyła żelazkiem.

**Radca** (*unosi się*).

Kto się ciebie pyta o takie rzeczy? Zawsze mi musisz znosić jakieś plotki.

**Janek.**

Wielmożny pan się pytał?

**Radca.**

Ale nie o takie dzieciństwa.

**Janek** (*tajemniczo*).

Proszę pana, taki stary, a... tful... przecie to on pewno niewiele co młodszy od wielmożnego pana.

**Radca.**

Wynoś się precz!

**Janek** (*odchodzi, n. s.*).

Oj, oj, jaki zły się teraz zrobił!

SCENA II-ga.

**Radca.** — **Potem Zosia.**

**Radca** (*sam*).

Zirrytował mnie tem głupstwem, ale to znowu znowu! pan guwerner niech mi daruje, takie nieuszanowanie domu, w którym są panny na wydaniu! piękny przykład swojemu pupilowi (*spostrzeżga Zosię wchodzącą z lewej strony, z cukierniczką i puszką do herbaty*) A, moja turkaweczka krząta się już koło gospodarstwa.

**Zosia** (*całuje Radcę w rękę*).

Dzień dobry wujaszkwowi.

**Radca.**

Dzień dobry ci, Zosiu (*całuje ją w głowę*); dawno wstałaś?

**Zosia.**

O! już od dwóch godzin.

**Radca** (*głaszcze ją po twarzy*).

Jesteś wzorową gospożą. Kocham cię za to.

**Zosia** (*odchodzi do stołu, na którym stawia to, co przyniosła; n. s.*).

Gdybym się tak dziś odważyła powiedzieć mu? jest w dobrym humorze.

**Radca** (*n. s.*).

Trzeba jednak zacząć wyraźniej przemawiać do niej, oswajać potrosze z tem, co ją czeka.

**Zosia** (*po chwili wahania się*).

Czy naprawdę mnie wujaszek kocha?

**Radca** (*patrzy na nią*).

Jak też myślisz?

**Zosia** (*z przymileniem*).

Ja myślę, że troszeczkę.

**Radca** (*z uśmiechem*).

A tybys chciała więcej? ty, ty....

**Zosia.**

Rozumie się, ja-bym chciała, żeby mnie wujaszek tak kochał, tak kochał.... żebym.... naprzód, żebym go się nie bała.

**Radca** (*j. w.*).

To ty mnie się boisz?

**Zosia.**

A potem, żebym miała do wujaszka nieograniczone zaufanie (*spuszcza oczy*); żebym mu mogła wszystko powiedzieć.

**Radca.**

Odgadujesz moje życzenia: pragnąłbym, żebyś nie miała przedemną żadnej tajemnicy. Widzisz, wychowałem cię od dzieciństwa, przywiązałem się do ciebie.

**Zosia** (*kładzie mu głowę na ramieniu*).

Bardzo?

**Radca** (*wzruszony*).

Bardzo! (*pieści się z nią, chce mówić, jakby walczył z sobą; po chwili n. s.*). To jakoś trudniej przyjdzie, niż myślałem (*p. c.*). To wszystko dobrze, ale powiedz mi o sobie, ty: czy mnie kochasz?

**Zosia.**

Niby wujaszek nie wie!

**Radca.**

Kochasz? a jak?

**Zosia** (*rzuca mu się na szyję*).

O! tak! (*całuje go, Radca zakłopotany; p. c. z uczuciem*), jak rodzzonego ojca!

**Radca.**

Ojca? (*n. s.*) Ba, i bardzo!

**Zosia.**

Widzi wujaszek: ja dałam dowód, a wujcio jeszcze nie... bo to nie chodzi o piękne słówka, tylko o czyn.

**Radca.**

Naprzykład?

**Zosia.**

Naprzykład... kiedy nie wiem, jak to powiedzieć.

**Radca.**

No już śmiało, śmiało, kiedyś zaczęła.

**Zosia** (*prędko*).

Tylko jak powiem, to niech wujaszek nie bierze tego znowu znowu znowu literalnie.

**Radca.**

Jakto?

**Zosia.**

No, bo ja tylko chcę zrobić jedno pytanie, tak, ogólnie (*n. s.*). Będę śmielszą.

**Radca.**

Więc słucham.

**Zosia.**

Naprzykład... bo widzi wujaszek, mnie tu tak dobrze przy wujaszku, że w niebie nie byłoby lepiej, ale...

**Radca** (*z pewną niecierpliwością*).

Ale cóż?

**Zosia.**

Ale zawsze przyjdzie czas, że... dajmy na to, gdyby też kto starał się o mnie, a ja się w nim zakochała?

**Radca** (*p. c.*).

Dobrze zrobiłaś, uprzedzając mnie, że zapytasz tylko ogólnie. To mnie uspakaja.

**Zosia.**

A czy ta myśl tak wujaszka przestrasza?

**Radca** (*rozdrażniony*).

Nie mogę ci tego w tej chwili wytłómaczyć—nie jestem usposobiony (*coraz niecierpliwiej*). Zresztą, moja droga, wiesz, że piję wody, że jestem rozdrażniony: jak możesz dotykać podobnej kwestyi, bez żadnego względu na moje zdrowie? Czyż to jest dowód tego przywiązania, z którym się chwaliłaś?

**Zosia** (*zmieszana*).

Alboż ja się chwaliłam, mówiłam tylko tak, jak czuję. (*n. s.*) O mój Boże! przewiduję okropne rzeczy.

**Radca.**

Proszę cię bardzo, jeżeli ci miły mój spokój, a teraz, gdy jestem w kuracyi, nawet życie, nie dotykaj rzeczy, które mnie drażnią.

**Zosia** (*smutna, całuje go w rękę*).

Przepraszam wujaszka.

**Radca** (*powściąga się*).

Ależ ja się nie gniewam: robię ci tylko uwagę (*wyrywa jej rękę*). Daj mi pokój, nie zatrzymuj

mnie, bo wiesz, że muszę chodzić i unikać wszelkich wzruszeń (*wychodzi na prawo*).

## SCENA III-cia.

Zosia. — *Później Janek.*Zosia (*sama*).

No, masz tobie! Był w tak dobrem usposobieniu jak rzadko, i na nic się nie zdało, myślałam że... tymczasem rozdrażniłam go tylko.

Janek (*wchodzi z lewej strony z samowarem*).

Panienko, hi, hi, hi,—kasztanek rypie od Dąbrówki.

Zosia.

Co mi tam!

Janek.

Kasztanek jak kasztanek, ale na nim p. Karol.

Zosia.

Gdzie?

Janek.

Prosto gościńcem—jest już za ogrodem.

Zosia.

Cóż ztąd? gościńiec prowadzi do miasteczka.

Janek.

Ale przy gościńcu jest ogród, z płotem takim niskim, że go można przeskoczyć (*wchodzi Karol*). A co! widzi pańienka,—hi, hi, hi (*odchodzi nalewo*).

## SCENA IV-ta.

Zosia. — Karol (*który wszedł z prawej strony w ubraniu do konnej jazdy*).Karol (*całuje Zosię w rękę*).

Dzień dobry pannie Zofii!

Zosia.

Zkąd-że dziś tak ranna wizyta?

Karol.

Jadę w bardzo ważnym i pilnym interesie; już miałem minąć ogród, ale słabość przemogła i wstąpiłem na chwilę, spodziewając się, że panią tu zastanę.

Zosia.

Nazywasz pan to słabością? dziękuję panu.

Karol.

Przyznaję się do tego; wszak to tylko dowód, jaką władzę masz pani nademną.

Zosia.

O, nie exaggeruj pan z tą władzą: wiesz dobrze że tak nie jest.

Karol (*śmieje się*).

Rozumiem, do czego pani to stosujesz; ale nie jestem kobietą, abym pod wpływem sentymentalizmu zmieniał dziesięć razy przekonania i odstąpił od tego, co raz postanowiłem — i to za zwoleniem pani.

Zosia (*urazona*).

Panie Karolu!

Karol (*bierze jej rękę*).

Moja droga panno Zofio, porozumiejmy się... wszak znasz mnie pani dobrze.

Zosia (*wyrzywa rękę*).O! znam, znam! Jesteś pan (*szuka wyrażenia*) pro-

za chodząca (*Karol się śmieje*); człowiek, który wszystko wyraża w cyfrach — nie pojmuje, że ludzie mają przecież serca i niekoniecznie już żyją z eksploatacji drugich (*zapala się*) człowiek niedowierzający i podejrzliwy, posądzający każdego o interessowność, a sam...

Karol (*kończy*).

Najinteressowniejszy pod słońcem! zgoda na wszystko: jestem interessowany i rachujący na zimno, jestem człowiek niepoddający się uczuciowości: a przecież pokochałem panią pierwszą i jedyną miłością, i jeżeli serca nie mam na pokaz, to dlatego, że zachowałem je w całości dla pani... czyliż masz mi to za złe?

Zosia.

Zbywasz mnie pan żarcikami.

Karol.

Bynajmniej! Mówię prawdę. Od chwili, gdy pozyskałem pani wzajemność i słowo, uważam się za związanego z nią na całe życie. bo przyszłość nas obojga jest odtąd wspólną. Obowiązki moje są wielkie: więc nie miej mi pani za złe, że nie, tracąc czasu na czułość, pracuję nad wzniesieniem podwalin naszego przyszłego szczęścia, zaczynając od zapewnienia dobrobytu.

Zosia (*ironicznie*).

To najpierwsze.

Karol (*z uśmiechem*).

Należysz pani do szkoły romantycznej: nawet w chatce byle z nim!

Zosia.

O! tylko nie z panem, bardzo przepraszam, panu trzeba zaraz pałaców.

Karol (*nie odpowiada na to, i mówi dalej, j. w.*).

Prześliczne to w teorii, ale nie w praktyce. I cóżby nas czekało, gdybym opuścił ręce? Jestem na dorobku i muszę teraz być czynnym z podwójną energią, zrzekając się wszystkiego, co może mnie odrywać od pracy, której celem jest zapewnienie pani bytu.

Zosia.

Wszakże ja panu z tego zarzutu nie robię...

Karol.

Wiem, tylko z czego innego i także nie masz pani racji. Nazywasz to uprzedzeniem, przywidzeniem, kiedy ja.....

Zosia.

Zawsze mam i mieć będę o to żal do pana. Jak można, na podstawie domysłów i podejrzeń, tak źle trzymać o człowieku z najlepszym sercem, któremu bądźco bądź, chociażby było coś prawdy w pańskich przypuszczeniach, winną jestem wdzięczność, bo mnie wychował i otaczał przywiązaniem, na równi z rodzoną córką?

Karol.

Dowiem się prawdy dziś jeszcze, bo właśnie jadę na pocztę, zkaąd otrzymałem awizację na ważny list, a ponieważ nadesłany został z miejsca, zkaąd spodziewałem się odpowiedzi, więc będzie ciekawy. Wstąpię tu z powrotem i pokażę go pani.

Zosia.

Ah! Boże, ja się tak tego boję. Czy pan pojmujesz, jakby to było dla mnie okropnie, gdyby to wszystko okazało się prawdą, stracić wiarę w tego, którego się kocha jak ojca! Ah! chętnie zrzekłabym się wszystkich korzyści materialnych, byle zachować choćby już tylko iluzję.

Karol.

Panno Zofio! W życiu jest tyle iluzji, które się rozwiewają same przez się, że okupywać ich trwanie dlatego tylko, aby się ludzi, zbyt wieleby kosztowało. Zresztą, nie sądź pani, abym krępował jej wolę i chciał kierować instynktem, w który mam wiarę — mianowicie w tym razie. Postąpisz pani tak, jak ci podytkuje serce, ja tylko chcę panią postawić w sytuacji, która ci się należy. Roztropność radzi stać wobec przeciwnika z bronią w rękę; wówczas mamy wolne pole do okazania wszelkiej wspaniałomyślności, rozbrojeni, musimy zdać się na łaskę i niełaskę, i możemy paść ofiarą. Będzie jak pani zechcesz, ale ja swoje zrobię (*całuje ją w rękę*). Do widzenia!

Zosia (*ściska jego rękę*).

Ah, panie Karolu!

Karol.

Jesteś pani aniołem, ale jak aniołowie — jesteś niepraktyczną.

Zosia.

Wstydzi się pan.

Karol.

Pożyczasz od nich skrzydeł i gotowaś, jak oni, poprzestać na ambrozji niebieskiej za całe pożywienie.

Zosia (*żywo*).

To z korzyścią dla pana, bo gdybym była inną, miałabym wielką pokusę przypuszczać, że to wszystko co pan robisz... (*wstrzymuje się*).

Karol.

Robię z interessowności? Być może, że tak jest nawet (*znowu całuje jej rękę*). W każdym razie, czy z anielskimi skrzydełkami, czy bez, kocham panią i kochać nie przestanę, a temwięcej nawet, gdyby dzisiejszy list ziścił pani iluzję, a rozwiał moje domysły. Jeszcze raz, do widzenia (*wychodzi naprawo*).

(Dalszy ciąg nastąpi)

## LOS Y IDALKI.

—Tak więc panowie mo,—mówił p. Zenoni w jednym towarzystwie, czysto mężkiem, jakie się u niego zbierało, nie na same tylko karty i kieli-szek. —Powiadam wam, że assistujemy wszyscy, jak jesteśmy, czemuś, co się w oczach naszych, mimo woli naszej dokonywa, a coby nazwał przetapianiem w jednym tyglu wszystkich dawnych czynników składowych życia starej Europy. Jaki tam będzie z tego aliaz? Chciałbym, żeby dyabeł na pytanie to odpowiedzieć nie umiał.

—Rzecz prosta — odpowiada Zenonowi hrabia Artur — że ludy znuzone jałowością usiłowań burzoazyi, której gwałtem chciało się rządzić, bez powołania i uzdolnienia do rządów, rzucają się po ratunek w objęcia dawnej, starej, arystokracji rodowej.

—To coś tak prostego, jak obręcz — przerwał hrabiemu, wieczny jego antagonistą pan Franciszek, współpracownik redakcyi jednego z pism warszawskich — a jasnego jak słońce, że lud, zapomniawszy o lochach, zamkach feudalnych, o jarzmie pańszczyzny, o łańcuchach i batach, niezawodnie rzuci się w panów objęcia, aby używać napowrót tych wszystkich słodczy....

—Z tobą mój drogi, bo i rozumowania niema — mówił nieco urażony Artur — myślisz, że arystokracja nowa będzie postępować jak dawniejsza?

—Jeśli będzie postępować inaczej, to nie będzie sobą — żywo odparł redaktor.

—Cóż pan na to? — zwrócił się do mnie hrabia, jakby szukając poparcia dla swego założenia.

— Ja sędzę, że spór się toczy o rzecz, której już niema. Tych utytułowanych potomków naszych historycznych imion, najczęściej będących w usługach takich, co mają władzę, lub pieniądze, za arystokracją nie uważam.

— Arystokracja—to osobne ciało, cech, zakon, bractwo, kasta najczęściej, której pewne przywileje służą. Wobec równouprawnienia wszystkich, bez wyjątków, jaką nadaje przywilej, o jakiej może być arystokracji mowa?—nie rozumiem; a gdzie ona może u nas obecnie być, przy warunkach jakie społeczeństwem naszym rządzą? także nie wiem. Arystokracja istnieje jeszcze w Anglii, poczęści w Niemczech: gdzieindziej jej chyba niema; są tylko rozprzężeni, pojedynczy ludzie, z pretensjami do arystokratycznych przekonań.

— Tak jest a nie inaczej—rzekł Zeno—wszystko w jednym ogromnym tyglu równości się przetapia, na substancją, całkiem nam niewiadomej wartości, a na dowód powiem wam: co za dziwna odebrałem dziś wiadomość w liście przyjaciela.

— Co takiego?—zawołali ciekawsi, radzi może iż rozmowa na pole anegdotalne schodzi.

— Znaliście wszyscy—mówił Zenon—hrabinę Idalię O....

Posypały się wspomnienia w kształcie odpowiedzi.

— Tę królową szyku i mody?... tę boginię salonów warszawskich, przed dwunastu laty? Tę pyszną blondynę o oczach jak szafiry, pierwszorzędną pianistkę, co oddawało Szopena, jak nikt nigdy?—Cóż się z nią stało?

— Nie zgadniecie nigdy—odpowiedział Zenon—choćbyście odgadywali do jutra.

— Słyszałem, że stracili majątek—rzekł któryś—dramat to u nas dosyć pospolity. No, teraz jest pewno guwernantką i lekcyę daje na fortepianie; może prowincjonalną aktorką; może gdzie sprzedaje wodę sodową; najpewniej wyciera gdzie kąty bogatych krewnych, albo dla skrócenia cierpienia biedy użyła fajerki z węglami lub zażyła strychniny. Jedno z tego być musi, bo to już zwykły finał nieogledności i marnotrawstwa, a oboje myśleć o przyszłości nie chcieli.

— Nie—odrzekł Zenon—mieszka w dawnym swoim pałacu... ale w charakterze bony przy dzieciach dawnej pachciareki, a dziś, całych tych dóbr dziedziczki.

Wiadomość o tak straszliwej zmianie w losach pięknej hrabiny wywarła na mnie głębokie wrażenie. Byłem prawie wychowawcą domu jej ojca, korepetytorem czas jakiś jej braci; przez protekcją starego hrabiego, otrzymałem pierwsze moje urządzenie; pamiętałem ją prześlizniętym dzieckiem, jakie rysować umięją tylko artyści angielscy—dzieckiem, które otaczał zbytek wyrafinowany, nieopatrzny ów zbytek, co był piekielnym ojcem obecnej jej nędzy.

Pamiętam wychowanie Idalki. Cały dom ulegał jej kaprysom. Dwie guwernantki, ochmistrzyń i cztery sługi, przeznaczone były do służenia małej osobce. Czasami przychodziła jej fantazyja zaprzęgać te sługi jakby konie, do wózka, w którym rozpięta się wspaniała, automatycznie poruszająca lalka. Nieraz przyszła dama wielkiego świata uderzyła posługujące jej *objectum*. Nikomu nawet na myśl nie przyszło strofować, napominać, powściągać zło. Ulubienica matki, następczyni jej na tron mody, była istota przeznaczoną do deptania po ludziach, a choćby i po siwych głowach.—Wielka rzecz głowa sługi lub chama!

Wychowanie jej było jaknajdziwniejsze; oczywiście przypominało starania, jakie dajemy niewypierzonemu jeszcze kanarkowi, w puchach klatki. Nie lepsze było pod względem moralnym; dosyć powiedzieć, że dla tak zwanej emulacji, chowano przy Idalce, kanaczkę rodzicielską, dwie lub trzy panienki, córki biednych oficyalistów dla wspólnej z nią nauki; ale te za nieuctwo hrabianki otrzymywały różne kary, od francuskiej guwernantki, która znajdowała to zupełnie słusznym, twierdząc, że tak chowają dzieci po książęcych domach we Francji, co niemało znówu schlebiali próżności hrabiny matki.

Dobry grunt wszakże serca Idalki sprawił to, iż mało ucierpiała od skutków tak przewrotnej edukacji; wyrastała na znakomitą piękność, a lubo może była dumna i próżna—mogła być ina-

czej?—nie okazywała tego w sposób gwałtowny, była grzeczną, łagodną, miała nawet dobre instynkta, gdy szło o dopomożenie komu.

Pamiętałem ją później po powrocie z Paryża, w całym rozkwicie wdzięku, szczebioczącą po francuzku i angielsku, owiele lepiej aniżeli rodzinną mową. Wyrivano ją sobie po salonach warszawskich; wtedy-to rozgłoszono, że nikt lepiej od niej nie może grać Szopena, reputacja ta się ustaliła, lubo co do mnie, to nieraz pytałem siebie: czy można oddać myśli tego mistrza dźwięków, smutku i melancholii, nie doznawszy na sobie tych uczuć, chyba z książki?

Niedługo potem wyszła za mąż za hrabiego O..., bardzo bogatego człowieka.

Odtąd stosunki się nasze przerwały. Nie stworzony na dworaka, lubo bardzo grzecznie przez oboje zapraszany, ani razu w domu ich nie byłem; grały tu niemałą rolę i względy, że wydatki na rękawiczki, dorożki, i inne nieuchronne dla bywających w wielkim świecie, przechodziły skromny budżet cancellisty.

Widywałem więc tylko Idalkę zdaleka, w londyńskim jej faetonie; był jasno-błękitny a aksamiem karmazynowym wybity, zaprzężony w parę siwo-jabłkowitych koni, które stanowiły przedmiot żywej zazdrości dla sportsmenów Warszawy. Idalia odbierała hołdy całego miasta, to jest wszystkich przódniaków, pędziwiatrów i elegantów. Głoszono wszędzie o jej dobroczynności, uprzejmości, sławili ją w wierszach okolicznościowych poeci, oczywiście *minima gens*. Potem słyszałem, że co zima wyjeżdża tam, gdzie sobie rendez-vous daje cały świat modny bogaczy: więc do Rzymu, Paryża, Nicei lub Florencji.

Bracia Idalii, dawni uczniowie moi, z choroby piersiowej na wyspie Maderze poumierali; umarł i stary hrabia wkrótce po nich ze zmartwienia, nie doczekawszy się z ukochanej córki wnuków, bo małżeństwo to, tak szczęśliwe pod wszelkimi względami, skazane było na bezdzietność.

Po tem wszystkim, co tu opowiadam, dowiedzieć się nagle bez przygotowania—bo ani o upadku majątkowym hrabiego O., ani o śmierci jego nie słyszałem—że bogini ziemiska Idalia ma być boną u własnej pachciareki, zakrawało na rodzaj fantastycznej zmyry, która samą bezsensownością swoją nas dławi i dusi. „Przecież, mówiłem do siebie, mogła obrać dla siebie tysiączne inne zawody, prac koronki, szale, utrzymywać rachunki, robić na drutach pończochy; ale zostać boną u pachciarezy!—zdawało mi się czemś niepodobnem.

Tymczasem, po bliższym sprawdzeniu, rzecz okazała się zupełnie prawdziwą. Przyjaciel Zenona, donosząc o smutnym fakcie, podzielał moje zdania i posuwał je dalej. „Wolałbym owiniećy od mrozu płachtami, kamieniem tłuc, niż służyć u dawnego pachciarezy mojego i uczyć żydowskie dzieci.“

Nagle przeleciała mi przez głowę myśl:—„A może ona w te dzieci żydowskie, wszczepia prawdy którychby one inaczej nie знаły i nic nie wiedziały o nich?“

Ta myśl pocieszająca zaczęła rozpraszać chmury, jakie się zbierały w umyśle, ilekroć wspomniałem dawną Idalkę. Nazajutrz, gdym nad tym przewrotem w losie hrabianki dumał, wypadło mi z tego dumania, że jako zawdzięczający całe moje obecne położenie, zmarłemu hrabiemu obowiązany jestem, znówu córce jego w niedoli pogrożonej, nieść pomoc według możności.

Miałem z pięćdziesiąt rubli oszczędzonych na chorobę; mogłem dostać urlop, bo przez czas sumiennej służby, nie brałem go jeszcze nigdy: nie było więc nad czem się zastanawiać. Obowiązek przedewszystkiem, a mój był święty: dotrzeć do miejsca, przekonać się, i oile można, córce dawnego dobroczyńcy pomóc.

Po niedługim namyśle siedziałem już w wagonie kolei i po kilku dniach nużącej drogi byłem na miejscu.

Widok opustoszenia, jakie owładnęło to miejsce dawnych magnackich rozkoszy był dla mnie w tej chwili prawie obojętnym; śpieszyłem oglądać żywą ruinę tych wielkości, Idalię.

W marmurowej sieni jakaś umorusana dziewczyna myła garnki: ją więc o panią Idalię spy-

tałem: „Pani dziedziczka—odpowiedziała mi—na górze, w swoim pokoju; pewno przy nauce dzieci.“

W istocie, wszedłszy po kilku schodach do wskazanych drzwi, zastałem Idalkę zajętą lekcyami z pannami Ozer, (jak nazywano teraz córki dawnego pachciarezy) Mosza, którego dobrze pamiętałem z owych czasów, gdy jeszcze godzinami całymi wystawał na ganku pałacu starego hrabiego, zanim go zaufany jego kamerdyner wpuścił przed innymi do pana.

Idalia nadspodziewanie wyglądała wcale dobrze, ani tak zmieniona, ani tak nieszczęściami przygnębiona, jak sobie wystawiałem: przeciwnie zachowała dawny ton arystokratyczny w obejściu, który mnie niepomalu zadziwił. Czułem się podawanemu wobec niej, nieśmiałym; sam nie wiedziałem, jak jej objaśnić, że przybyłem w roli protektora, gdy po przypomnieniu sobie mojej osoby, powitaniu bardzo serdecznym, przyjacielskim, raczyła spytać: co mnie w te odległe strony sprowadza?

Trzebaż było nakoniec przejść ten rodzaj Rubikonu. Zdobyłem się na odwagę i odpowiedziałem pokrótce, że chęć pomżenia jej w czemkolwiek, które uważałem dla siebie za obowiązek, przez pamięć na dobrodziejstwa, jakich doznałem od jej ojca; napomknąłem bardzo nieśmiało, iż możebym potrafił jej wyrobić w Warszawie odpowiedniejsze pomieszczenie.

— „Bardzo panu dziękuję—odrzekła hrabina, podając mi rękę.—Wdzięczność jest tylko udziałem dusz szlacheckich, dlatego jej na świecie wogóle mało. Nie dziwi mnie, że zdaleka położenie moje mogło się wydawać panu nie takim, jakim jest w istocie, to jest jak dla mnie, co tyle przesłałam—przyzwoitem, znośnem. Mam do czynienia z ludźmi dobrymi, którzy mnie szanują, umięją uwzględnić moją pozycją, a to samo zdoła zastąpić wiele już z tych rzeczy, których mi braknie.

„Opowiem panu smutne moje losy. To lepiej panu przekona, niż gdybym złożyła najoczowitsze dowody, iż położenie moje w tym domu, ani mnie ani godności mojej nie skazuje na żadne udzielenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z APENINÓW

(Dalszy ciąg).

Góral apeniński bardzo mało żąda i bardzo mało potrzebuje od miasta, bo, jak Robinson na swojej wyspie, starczy sam sobie. Żywi się tem, co jego pole i sad mu wyda, a w każdej kamiennej kapie stoją pod ścianą krosna, na których kobiety tkają gruby, z wełny kóz lub czarnych owiec samodział i mocne konopne płótno. Ale w czasie willegiatury, gdy mieszczuchy szukają po dolinach chłodu i ożywczego gór powietrza, górale i góralki schodzą tam często, przynosząc swoje doskonale masło, ser, jaja, pyszny drób tuzony kasztanami, wreszcie cudownie wonne poziomki alpejskie. Doroczne jarmarki na Św. Jana Chrzciciela i na Św. Magdaleny, to jest 24 Czerwca i 22 Lipca, stanowią znaczące epoki w życiu górali i ludność najdalejzych wiosek spuszcza się wtedy w dolinę, znosząc i spędzając z gór, co kto ma do sprzedania, a wzamian kupując te przedmioty zbytku, których góry dostarczyć już nie mogą. Jest to najprostszy i prawie że pierwotny handel zamienny; przecież tyle jest przytem hałasu, gadania, kuszenia z jednej strony, opierania się z drugiej, jakgdyby targ szedł o skarby cesarów. Od pierwszego brzasku dnia już tu jest gwar, ścisk, przekleństwa i ta gorąca, namiętna włoska giestykulacja, którą jednakże rozwijają głównie w zakupnie miejsca, bo góral apeniński ma w sobie wiele powagi i surowości istic rzymskiej. Hałas powstający z tego wszystkiego, wzbija się do góry i dochodzi do wiosek wyludnionych w tej chwili, podobny do szumu

bałwanów morskich; gdy tymczasem ogromne wieńce cebuli, motki konopnej, przędzy, góry fig, winogron, kasztanów, współubiegają się ze słomianymi kapeluszami, garnkami z polewanej gliny, przyrządami do siarkowania wina, wreszcie kolorowymi chustkami, tasiemkami, błyszczącymi klejnotami z tombaku, igłami i naparstkami z mosiądzu. Jegomość z kędzierzawymi włosami trzyma przed sobą kasetkę pełną małych paczek jednego kształtu i wielkości i zaprasza signorów i signoryny, aby próbowały szczęścia w loteryi. Los kosztuje solda: — *Alla pesca e alla fortuna* — woła — *un soldo l'una! un soldo l'una!*... i oto, młody, piękny, ogorzały góral, z sokolem piórem u pilsniowego kapelusza, pierwszy odważa się spróbować szczęścia. Przystępował do stolika śmiało, z lekceważącą, dumną miną, ale teraz staje się uważnym i chwiejnym: patrzy, patrzy na bilety, z których ma wybrać jeden, potem też z jakimś ociąganiem się otwiera paczkę swoją i — wyciąga z niej, ku ogólnej admiracyi ciekawych widzów, przepyszną, świetnie czerwoną chustkę perkalową na szyję. Przykład i razem zazdrość popycha innych, którzy już zaczynają się tłoczyć, niemal włożyć na plecy drugiemu, który wygrał pierścionek z koralowem oczkiem, a sługa fortuny, wytrzasający te wszystkie skarby ze swej kasetki, szepcze mu do ucha, że rumianna jak jabłko, czarnowłosa dziewczyna, w tykoko kupionej pasterce słomianej powinna go dostać. Góral się odwraca, patrzy z ukosa na swoją ogorzałą bellę, a tymczasem już ktoś inny stanął przed kasetką. Ale gwiazda szczęścia u wygrywających zaczyna jakoś słabnąć, budzą się szmerzy niezadowolienia, nawet groźby, słychać wyrazy: „Złodziej!... oszust!...“ aż znowu jakaś wielka wygrana — para czarnych jedwabnych mitenek, które wygrał oberżysta z niedalekiego albergo, złoty baraniec pugilares, który dostaje się pastuszce kóz — poprawia humor publiczności i reputacyą kramarza, którego skórzana kieszeń, zawieszona na piersiach coraz pęcznieje od zebranych soldów.

Ale skrzypce i flet, odzywające się z niedalekiego *corte*, oznajmiają przytomnym, dalekim i blizkim, że *burattini* rozpoczną wkrótce przedstawienie swoje i piazza wyłudnia się natychmiast, tłum tłoczy się w inną stronę, aby śmiać się szalenie, lub przechodzić wszystkie „od nadziei do rozpacz stopnie“, w miarę tego, jak marynetki, które śpieszy podziwiać, rozegrają przed jego wzrokiem okrutną tragedję, lub wesołą farsę. Lecz nie należy się nie dziwić temu pierwotnemu entuzjazmowi, lub homerycznej wesołości górala, trzeba przypomnieć sobie pierwiej samotność jego wśród jarów górskich, kędy żyje rok cały. Z tego teatru marynetek, z tej łaski lub niełaski losu, która objawiła mu się przy pudle loteryjnym, z twarzy, słów, spojrzeń tych ludzi obcych, z których każdy obrał go z czegoś, wzięł więcej niż dał, góral robi sobie karm' dla myśli, dla wyobraźni swojej, na rok czasu okrągły. Gdyby nie te jarmarki, zdziaczałyby wśród kamieni i hal, które go żywią i osłaniają od gniewu żywiołów.

Drugą obok jarmarku uroczystością w życiu górala jest odpust. Każda wioska góraska jest przez jeden dzień w roku miejscem wielkiego zbiegowiska bliźszych i dalszych sąsiadów; święto patrona, pod którego wezwaniem wzniesiony jest parafialny kościół wioski, obchodzi uroczystem nabożeństwem odpustowem i piazzeta wioski jest wtedy pełna ludzi świętecznie ubranych, a starożytna świątynia nie może objąć tłumu, który też, jak woda przelewająca się poza brzegi wezbranej rzeki, zajmuje kamienne stopnie drzwi wchodowych i część cmentarza, otaczającego kościół. Przypomina to niesłychanie nasze wioskowe odpusty, nasz wioskowy lud pobożny i przyznam się, że mi miękło dziwnie serce, na widok processy pod gołym niebem z rozwitemi chorągiewkami, z obrazami świętych, które niesiono na malowanych

drażkach, z żółtymi woskowymi świecami w rękę. Ludku zbiera się wtedy jakie kilkaset, dziewczęta w białych zasłonach sypią kwiaty przed księdzem, który postępuje z monstrancyą. Jak u nas na Boże Ciało, są tu urządzone ołtarze, przy których processya zatrzymuje się, modli i znów idzie dalej, śpiewa monotonnie pieśni pobożne, których nuty przypominały mi również dawne czasy i nigdy niezapomniane strony.

W wigilią Św. Jana górale apenińscy palą też sobótki. Spotkałem tensam zwyczaj i w Irlandyi, ale tak tam, jak tu, lud niema żadnych co do tego tradycyi. Pali te ognie, jak dziady ich i pradziady jego palili je; on się nauczył to czynić od ojców swoich — i to już wszystko. Opowieść pastuszka kóz, którego się o to wypytywałem brzmiała też podobnie jak u nas odpowiedziałby Stach lub Jontek: — „Tak się godzi“...

Isą tu także takie, jak u nas, miejsca cudowne, wśród pustkowi, gdzie nastąpiło przed wybraną duszą pobożną objawienie się jakiegoś świętego lub świętej. Włoski lud, tak jak nasz, szczególnie jest nabożny do Matki Boskiej, więc też tak samo jak u nas, znajduje się tu najwięcej cudownych miejsc objawienia się Najświętszej Panny. Jednym z takich jest pustelnia w Gallicano, dokąd w Maju i we Wrześniu lud góralski pielgrzymuje licznie w dni niedzielne. Gallicano to już właściwie nie Apeniny; dolina Garfagnana znajduje się naprzeciwko nich, u stóp Alp Apenińskich, czyli gór Carrara. Miasteczko Gallicano leży w tej dolinie. Domy wysokie, kamienne, jak tu wszędzie, stare, z łozami o rozwartych arkadach, ciągną się z obydwóch stron wąskiego parowu, którego prostopadle wznoszące się ściany pokryte są od góry do dołu pyszną firanką wijącą się zieloności. Powyżej miasteczka wąwóz spojony jest przez starożytny wodociąg, przeprowadzony przez pojedynczy, ostro zarysowany łuk gotyckiej arkady; pustelnia znajduje się o trzy włoskie mile dalej, już między górami, zajmując małą, naturalnie utworzoną platformę, wznoszącą się ponad lesistym jarem i otoczoną wkoło urwistemi, czerwonymi skałami, strzelającemi wysoko w górę. Kościół i dzwonnica tak są wpośród nich zbudowane, że bok skalistej góry tworzy zarazem jedną ich ścianę. Jest to miejsce niewymownie piękne, rzeczywiście romantyczne; w wigilią najuroczystszej święta, przypadającego tu odpustu w dniu Najświętszej Panny *Porta Coeli*, pielgrzymi z dalszych, a można powiedzieć: bardzo dalekich, okolic ściągają się już na wieczór. Mężczyźni mieszczą się w pobliższej *foresteria*, kobiety nocują w kościele, który zajmują zaraz po niesporach. Ludność ze stron bliższych przybywa też kompaniami od rana samego. Kompanie te wyruszają od siebie o świcie, a nawet przed świtem, śpiesząc tak, aby zdążyć na mszę poranną, po której dzwony zaczynają się odzywać kolejnie dla każdej kompanii w sposób właściwy i znany zgromadzonemu ludowi, dając znak zbierania się z powrotem do domu. Ostatnia drużyna wyrusza w południe i pustelnia pogrąża się znowu w uroczystej swej ciszy, którą przerywa tylko śpiew bardzo tu licznego ptactwa leśnego. Dzisiejszy kościół, pod wezwaniem *Marya Porta Coeli*, istnieje od 1671 r., ale stał tu niegdyś inny, o wiele starszy, wcielony w mury obecnie wznoszącej się tu świątyni. Pustelnik, który przez świątobliwość swoje miejsce to rozslawił, żył w X wieku. Góra Św. Pellegrino w Apeninach Modeńskich jest też miejscem licznych, a nawet wiele liczniejszych niż Gallicano, pielgrzymek. Przez wszystkie niedziele i dni świąteczne w miesiącu Maju ciągną tam tłumy górali.

Wszystko to jednak, cały ten, tak rozmaity ruch życia, które przez lato pulsuje wśród dolin i wąwózów, parowów apenińskich, kończy się nagle za nadejściem zimy. Śnieg zasypuje wszystkie drogi: zatem każda z tych wsi górskich zostaje

zupełnie odcięta od reszty świata i tylko też starcy, kobiety i dzieci, pozostają tu na straży ognisk domowych, cała ludność męzka schodzi nadół, szukając roboty. Znanem tu jest z tych okolic wychodźstwo do Ameryki. Emigranci wracają jednak do domu często po dwudziestu i więcej latach włóczęgi i pracy na dalekiej obczyźnie, z trochę grosza wystarczającego na zakupienie domu i gruntu we wsi rodzinnej. To też turysta, zwiedzający te gniazda na skałach, zadziwi się nieraz, gdy usłyszy nagle wieśniaka odzywającego się doń poangielsku, jeżeli powłósku rozmówić się mu było trudno. Mnie spotkała niespodzianka większa jeszcze: góral jeden umiał bardzo dobrze kilka frazesów popolsku, i dowiedziawszy się, z kąd jestem, nazwał mnie „Jasnie pan“. Ten wędrował po świecie z obrazkami: był i u nas, znał dobrze Warszawę, Kraków, był w Częstochowie, i nosił nawet medalik z Matką Boską Częstochowską. Zrobił mi bardzo dobrą reputacyą między ludem tamtejszym, opowiadając, że wszyscy Polacy kochają Włochów i wierzą tak w Pana Boga, jak i oni, są uczciwi, pobożni ludzie. Szczególnie pozyskały sobie jego serce wiejskie dwory nasze: wszędzie go tam nakarmiono dosyć i zawsze coś utargował. Z tych to górali rekrutują się po większej części owi przekupnie świętych obrazów, którzy z drewnianem pudłem na plecach przechodzą całą Europę. Ale największa i już doroczna, stała migracya tej ludności jest na niziny i do różnych miast włoskich i to ma zawsze miejsce w końcu Września, lub na początku Października, gdy jary i stoki pagórków już w górach uprawione i obsiane zostały. Górale idą do Rzymu i Florencyi na służbę, szczególnie do cudzoziemców, najwięcej do Anglików, przybywających tu tłumnie. Inni pracują w nizinach jako malarze, inni wydzierżawiają polowanie, to jest jaki kawałek łączki lub lasu, na trakcie dorocznych przelotów ptactwa i roznoszą po miastach tysiące tej drobnej zwierzyny, której tu zjada się nieobliczona ilość. Inni dalej jeszcze szukają sobie kwatery zimowych, puszcza się na Korsykę, idą do Kalabrii i nawet na wybrzeża afrykańskie, gdzie tylko budowa kolei żelaznych, lub mostu jakiego daje zarobek. W Czerwcu i na początku Lipca wraca to wszystko do domu na żniwa, gromadami, na wozach, których czasem bywa w jednej gromadzie sześć, dziesięć. Jadą hucznie przez wioski i miasteczka nizin, z myślą wesołą o domu, do którego każdy góral tęskni i śpiewają też teraz chórem przy akkompaniamencie dzwonek, jakimi obwieszono są wysokie chomonta ich koni.

Na niziny podgórskie schodzi głównie lud pasterszy, zupełnie w takisam sposób, jak to opisał Lorenzo Wspaniały: pędząc przed sobą stada koni i bydła, trzody kóz i owiec. Pasło się to wszystko przez lato całe na żywnych halach Apeninów, i teraz, przed nadechodzącą porą deszczów jesiennych, idzie w niziny w ostatnich dniach Września i na początku Października. Drogi są zapchane tak, że już wtedy nikt przejechać, ani nawet przejść, tamtędy nie może, a ryk, bek, dźwięki tysięcy dzwonek napełniają powietrze nieopisanego rodzaju hałasem. Każdy pasterz ma do swojej pomocy najmniej dwóch psów; on sam niesie na plecach przewieszony na kiju całe mienie swoje. Bawełniany kolorowy parasol dominuje tu i najpierw w oczy uderza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty tomu III-go powieści pod tytułem: **Aż do śmierci.**

**TREŚĆ.** Wakacje, przez M. Ilnicką. — Na Polesiu, powieść, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Uczuciowi, komedia, przez Józefa Bliźnińskiego. — Losy Idalki. — Apeniny, (dalszy ciąg), przez P. Ż.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 12 Юля 1883 года.